

## ESEJE

Krzysztof Gawlikowski



### ZAPISKI Z PAWILONU ODLATUJĄCEGO ŻURAWIA (IV). UWAGI O JEDNOSTCE I PROBLEMIE PRAW CZŁOWIEKA

Pan T. z Azji Południowo-Wschodniej, od wielu lat mieszkający na Zachodzie, był wyraźnie czymś zbulwersowany, gdy przyszedł do mnie, by podzielić się swoimi frustracjami.

*Wy, na Zachodzie, jesteście naprawdę okropni! Tacy egoiści! Myślicie ciągle o sobie i wyłącznie o sobie. Chcecie czegoś, ale w ogóle nie uwzględniacie potrzeb i chęci innych. Wasza zasada to: „Ja tak chcę, i już!” Nawet po trupach! Gdy postanawiacie coś, zazwyczaj decydujecie sami, czasami nawet w tajemnicy przed innymi, włącznie z rodziną! Nie znacie naradzania się z innymi, uzgadniania z najbliższymi, albo z przyjaciółmi, ustalania, co razem chcemy. Chcecie, i już! Nawet nie potraficie kontrolować swoich zachcianek, naradzić się choćby ze sobą samym, czy to rozsądne? Czy ma sens? Jakie mogą być tego konsekwencje dla mnie i dla innych?*

*Jak łatwo obrażacie się na innych i jacy jesteście pamiętliwi! Nie potraficie zapomnieć i wybaczyć. Jeśli kogoś nie lubicie, bo czymś się Wam naraził – to już koniec, nie chcecie go nawet spotkać więcej. Choćbyście byli przedtem przyjaciółmi przez dziesięć lat! A każdy popełnia przecież błędy. Potem można sobie wyjaśnić i zapomnieć, i znowu być razem. Nie umiecie być prawdziwymi kolegami, na dobre i na złe. Jak coś zrobisz źle, to się zezłoszczę. Mogę Ci nawet nagadać. Ale po paru dniach mi przejdzie i po prostu zapominam, i znowu jesteśmy przyjaciółmi, jak przedtem. Oczywiście, jeśli ktoś zdradzi, zrobi coś rodzinie – to mogę go zniechęcić na zawsze. Ale tylko wtedy, jeśli on specjalnie chciał mi zaszkodzić, jeśli on zdradził naszą przyjaźń. Ale jeśli coś zrobił przypadkowo? Takie codzienne rzeczy... To się nie liczy.*

Bardzo to było azjatyckie i pokazywało rozmaite osobliwości wschodnio-azjatyckiego podchodzenia do świata i ludzi.

Na przykład, wyraźnie widać w tym myśleniu wpływy mentalności buddyjskiej i koncepcji, iż kluczowa jest *intencja*. Dopiero ona określa charakter czynu. A nawet więcej: już ona sama jest pewnym aktem/działaniem. *Zła intencja* jest *występkiem*, czy nawet przestępstwem, niekiedy wręcz karanym przez państwo. My zafascynowani jesteśmy *czynem*, działaniem w sferze zewnętrznej, przedmiotowej, a zjawiska „wewnętrzne” (psychiczne) co najwyżej stanowią okoliczności obciążające, lub łagodzące *realnego działania*, które jedynie się liczy.

W tej wypowiedzi pojawia się także wyraźnie kwestia innego pojmowania jednostki. Nie chodzi o *kolektywizm*, choć pozornie tak się może wydawać. Samo przeciwstawienie kolektywizmu i indywidualizmu jest antynomią z naszej cywilizacji zachodniej. Krytyka *indywidualnych decyzji* i *indywidualnych zachcianek* wiąże się tu raczej z grupowym charakterem podmiotu, do którego jednostka przynależy i którego częścią się czuje. Niekiedy określa się taki typ osobowości „zależnym” lub „współzależnym”.

Autor tego monologu wyraźnie uważa za „normalne” nie tylko wspólne naradzanie się i podejmowanie uzgodnionych decyzji, ale nawet wspólne uzgadnianie celów, *czy nawet pragnień!* To przeciwstawia się nie tylko indywidualnym, ale i nieprzemysłanym czy chwilowym zachciankom jednostek, na Zachodzie określającym często ich postępowanie. Chodzi tu przy tym nie o uzgadnianie z *innymi*, ale z *członkami mojej grupy*, z którymi tworzymy pewną wspólnotę – podmiot zbiorowy. Członkowie innych grup w Azji Wschodniej są uznawani za *obcych*, wobec których nie mamy żadnych zobowiązań i nie oczekujemy niczego dobrego. Raczej spodziewamy się, że nas oszukają, wykorzystają. Zatem *obcych* się obawiamy. Brakuje w tym myśleniu zupełnie koncepcji *bliźniego*, któremu należy pomagać. Nie ma też chrześcijańskiej *rodziny ludzkiej*, do której my wszyscy, ludzie, przynależymy – zgodnie z tradycją chrześcijańską. Konfucjusz próbował wprowadzić pewne elementy etyki uniwersalnej, ale zostały one w istocie później zapomniane. Jeszcze więcej w tym kierunku działał buddyzm, ale nawet i on nie przewyciężył tradycji *mentalności grupowej*.

Bardzo znamienne w powyższej wypowiedzi było *naradzanie się z samym sobą*. Procedura uzgodnień z innymi najwyraźniej została zinterioryzowana tak głęboko, iż w sytuacji braku możliwości kontaktu z innymi członkami wspólnoty jednostka przeprowadza procedurę konsultacji we własnej wyobraźni, rozważając różne potencjalnie stanowiska i opinie. Ten podmiot grupowy to nie tylko rodzina, ale i na jej wzór funkcjonujący zespół pracowników czy kolegów. I tak jak w rodzinie – są to relacje *bardzo trwałe*. Przypomnijmy: tradycyjnie w Azji Wschodniej, zwłaszcza w dość stabilnych politycznie Japonii i Korei Południowej, pracownik zatrudniał się po szkole czy uniwersytecie w swojej firmie *na całe życie*, gdyż związek z nią był bardzo głęboki, głębszy niż małżeństwo na współczesnym Zachodzie. Człowiek, który by „zdradził” swoją firmę, miałby ogromne trudności w znalezieniu pracy w innej. Relacji *głębokiej współzależności jednostek* z jednej grupy, czującej się podmiotem zbiorowym *my*, nie można o tak sobie zrywać.

Autor tej wypowiedzi był najwidoczniej wielokrotnie zaskakiwany zrywaniem kontaktów koleżeńskich czy przyjacielskich „o byle co”, bo inaczej, dużo poważniej je traktował: jako *związki osobiste*. U nas łatwo nawiązuje się znajomości, są one jednak powierzchowne i łatwe także do zaniechania.

Brak naszej judeochrześcijańskiej idei *bliźniego* w Azji Wschodniej ma bardzo poważne konsekwencje. Stąd tak głębokie jest niezrozumienie angażowania się w obronę praw nawet zupełnie obcych ludzi (pomijając już kwestię obcości koncepcji *czyichś praw*). Azjaci mogą się zgodzić, oczywiście, z Europejczykami, że nie wolno stosować tortur, czy więzić bez sądu, albo w innych konkretnych sprawach. Dużo trudniej zaś porozumieć się z nimi co do praw człowieka, odwołując się do naszych wartości. Na przykład, wyjątkowa wartość jedyne go ludzkiego życia na tym świecie w tradycji judeochrześcijańskiej inaczej wygląda z perspektywy buddyjskiej, przy której każda istota ma przed sobą tysiące żyć czy inkarnacji, i odradzania się w najróżniejszych formach, także zwierzęcych. Ludzie też wcale nie są sobie równi, gdyż dzielą się na dziesiątki kategorii o różnym poziomie rozwoju i mogą odradzać się w wyższych lub też niższych formach. Różni ludzie reprezentują zatem rozmaite poziomy egzystencjalnej doskonałości, a obok nas istnieją miliardy innych wyższych i niższych istot, bóstw, duchów, zwierząt, które są nam tak samo bliskie, czy tak samo obce, jak nie związany z nami człowiek! Dla nas każdy człowiek jest człowiekiem, tam zaś istoty ludzkie posiadać mogą swe walory moralne w różnym stopniu, człowieczeństwo jest stopniowalne, a ludzie są częścią istot żywych (czujących) i wcale nie są sobie równi. Jedni żyją na poziomie zwierzęcym, inni są istotami moralnymi różnych poziomów, a jeszcze inni zbliżają się do stopni bóstw, czy nawet buddy.

Nie istnieje tam zatem pojęcie *rodziny ludzkiej*, złożonej z takich samych ludzi. Dlatego trudno jest pojąć normalnemu Azjacie, że ktoś w dalekiej Europie czy Ameryce przejmując się rzeczywiście losem jakiegoś zupełnie obcego człowieka, siedzącego np. w więzieniu w Rangunie, gdy nie ma wobec niego żadnych zobowiązań (i bardzo łatwo akceptuje się wyjaśnienie, że chodzi tu o jakieś intrygi antybirmańskie, antychińskie itp.). W Azji Wschodniej ma się obowiązki moralne tylko wobec członków własnej grupy. Przy czym chodzi o grupy, z którymi jednostka głęboko się utożsamia, jak np. rodzina, klan, wspólnota sąsiedzka, wspólnota wiejska, gmina, powiat, kolektyw firmy, grupa przyjaciół itp., ale nie dotyczy to wszystkich współmieszkańców tego samego miasta czy narodu. Nawet kiedy już w XX w. idea narodu zadomowiła się w Chinach, patriotyzm nie oznaczał solidarności ze wszystkimi Chińczykami. W Japonii taką solidarność narodową udało się do pewnego stopnia wytworzyć, ale manifestowała się ona przede wszystkim w relacjach ze światem zewnętrznym.

Trzeba zaś jeszcze pamiętać, że mamy inne wizje świata. Wedle ludzi Zachodu każdy ma prawo do szczęścia, a ból zadaje „ślepy los” albo jakiś niecny krzywdziciel. Zaś według Azjatów-buddystów cierpienie jest nierozdzielne od istnienia! Każdy zaś otrzymuje to, na co zasłużył, albo to, co mu było przeznaczone. Zastrzelili go niewinnie? Widać na to sobie zasłużył przewinami w poprzednich wcieleniach,

albo takie było jego przeznaczenie, przeciwko któremu nikt rozsądny buntować się nie będzie.

Nasze prawa człowieka odnoszą się do człowieka pojmowanego egalitarystycznie, przynajmniej w perspektywie religijno-filozoficznej, do ludzi stworzonych „na obraz i podobieństwo Boże” i wyniesionych poza wszystkie inne stworzenia, jako „dzieci Boże”, z tchnieniem Bożym – duszą nieśmiertelną, sumieniem, wolnością wyboru, przyrodzoną godnością itd. Tego wszystkiego brakuje w tradycji buddyjskiej czy konfucjańskiej, gdzie inaczej traktuje się życie i śmierć człowieka. Przypomnijmy: w naszej perspektywie religijnej mamy zagwarantowane życie wieczne jednostki, Bóg może tylko określić jego jakość (dopuszczając nas do Nieba, czy skazując na piekło). Dla buddysty celem jest wygaszenie jednostkowego istnienia przez wyzwolenie z cyklu reinkarnacji. Istnienie jest czymś złym, przykrym, związanym nierozdzielnie z cierpieniem.

Podobnie z naszymi prawami człowieka, które chcemy narzucić wszystkim kulturom, traktując je na sposób para-religijny, podobnie jak dawniej narzucaliśmy chrześcijaństwo. Odnoszą się one do jednostki pojmowanej indywidualistycznie, obcej kulturom azjatyckim oraz afrykańskim, które eksponują zazwyczaj jej przynależność do grupy i związki z innymi, nie autonomię. Warto wspomnieć, że już nasza biblijna wizja stworzenia człowieka eksponuje jego *indywidualność*: Bóg tworzy Adama, a potem Ewę. Natomiast w Azji Wschodniej jest wiele mitów o stworzeniu czy narodzinach ludzi, eksponujących ich *mnogość*. Np. Nü Wa, chińska prarodzicielka (jej imię nie przypadkowo można rozumieć jako Bogini Ślimacza), najpierw lepiła figurki ludzkie z gliny, a one postawione na ziemi ożywały. Później, aby przyspieszyć pracę, zanurzała sznurek w rozrobionej glinie i wyprostowując go gwałtownie powodowała, że po każdym zanurzeniu na ziemi spadały dziesiątki drobin, zamieniających się w ludzików. W innej, zapewne późniejszej wersji opowiadającej o przekształceniu ciała pra-olbrzyma w świat, ludziki powstały z insektów żyjących na jego ciele. W micie wietnamskim ze związku smoka wodnego z boginią gór zrodziło się sto jajek, z których wykluły się ludzie. Jak widać, od początku ludzi jest mrowie, a filozofowie objaśniali, jak z tą masą sobie radzić i jak nią kierować. Człowiek w tym rozumieniu to *mrowie ludzkie* nie samotne *indywiduum*.

Ponadto nasze prawa człowieka mają sens na gruncie fundamentalnej zasady, że *podmioty posiadają pewne prawa*. Szkopuł zaś w tym, że na gruncie tradycji konfucjańsko-buddyjskiej nie da się ani powiedzieć, ani nawet pomyśleć, że *ktoś ma jakieś prawa*. Człowiek ma bowiem wobec innych przede wszystkim określone *powinności*. Prawo zaś pojmowano jako pewne regulacje wydawane przez władcę, jako system zakazów i przysługujących kar za ich złamanie. Ktoś może mieć co najwyżej księgę z ich spisem, czy dynastia może mieć taki własny kodeks. Ba, nieraz nawet rody i wspólnoty wiejskie miały własne regulacje, ale tę sytuację dzieli dystans lat świetlnych od koncepcji obywatela czy firmy, mających pewne prawa. Dla przetłumaczenia nieprzetłumaczalnej koncepcji zachodniej „praw człowieka” wymyślono

w Japonii, co przejęto też w Chinach w XIX w., jako ekwiwalent „władze człowieka” (jap. *jinken*, ch. *renquan*). Do tego czasu przyjmowano, że tylko zwierzchnicy państwowi i społeczni mają władzę, natomiast zgodnie z nową koncepcją także zwykli ludzie mają pewną władzę i w jej ramach mogą decydować sami.

Badania Siegfrieda Hoppe-Graffa (patrz „Azja–Pacyfik”, t. 3/2000) pokazały, że w Korei Południowej funkcjonuje swoista konfucjańska interpretacja czyichś praw. Mianowicie sporo osób, w tym także młodzieży, przyjmuje, że termin ten odnosi się do pewnego brzemienia odpowiedzialności oraz powinności, jakie jednostka na siebie przyjmuje, określających jej znaczenie, a zatem prestiż i godność. W takim pojmowaniu praw jednostki ona sama decyduje, jakie prawa sobie nadaje, nie zaś jakiś parlament. Prawa te nie mają nic wspólnego z legalnością, czy porządkiem prawnym państwa. Podobne pojmowanie ich spotykamy także w innych krajach regionu.

Prawa człowieka są najczęściej akceptowane w Azji jako pewne normy życia cywilizowanego, niezbędne by stać się państwem szanowanym przez Zachód, ale ich filozoficzno-etyczne podstawy pozostają ludziom obce. I nie jest to wynikiem propagandy reżimów komunistycznych czy obrony dyktatur, ale głębokich różnic kulturowych, odmiennych wizji świata i człowieka! Rządy azjatyckie, przynajmniej deklaracyjnie, prawa te zazwyczaj uznają, ale ich funkcjonariuszom i zwykłym mieszkańcom ideologia tych praw pozostaje podobnie obca, jak przeciętnemu Polakowi buddyjskie wizje człowieka czy koncepcja nirwany. Dla nas autonomia jednostki jest oczywistością i podlegać winna ochronie, tam traktowana była przez tysiąclecia jako przejaw karygodnego egoizmu. Jak uczył buddyzm, nawet samo istnienie jednostki jest złudzeniem nieoświeconego umysłu. Odwoływano się do metafory rydwanu, który jest tylko chwilowym agregatem osi, kół, kosza, dyszla itd., rozmieszczonych w pewnym porządku. Nie istnieje on jednak jako byt absolutny, podobnie jak nasza jaźń jest tylko chwilowym agregatem rozmaitych elementów.

Nawet systemy prawno-instytucjonalne nie uznają zwykle w Azji Wschodniej kluczowego znaczenia jednostki i nie traktują jej jako autonomicznego i samodzielnego podmiotu. Np. wyroki Sądu Najwyższego w Japonii pokazują wyraźnie, iż interes społeczny był uznawany za o wiele ważniejszy od interesu jednostki, zaś ten ostatni musiał mu ustępować. Podobne koncepcje przyjęto oficjalnie w Singapurze w 1991 r. specjalnym aktem parlamentu jako swoistą ideologię państwową. Oto owych pięć fundamentalnych zasad:

1. Naród ma pierwszeństwo przed społecznością, a społeczeństwo przed jednostką;
2. Rodzina jest podstawową komórką społeczeństwa;
3. Społeczność zapewnia wsparcie jednostce i okazuje jej respekt;
4. Działa się na zasadzie konsensu, nie konfliktu;
5. Obowiązuje rasowa i religijna harmonia.

Można dodać, że obywatele są tam zaliczani oficjalnie do trzech ras: Chińczyków, Malajów i Indusów (czwartą *de facto* są Kaukazczycy, czyli biali). Chociaż inne kra-

je regionu nie ogłaszały podobnie uroczyscie tych zasad, w praktyce są one uznawane z niewielkimi modyfikacjami w całym kręgu kultur konfucjańsko-buddyjskich. Znajdują one wyraz nawet w sferze prawno-instytucjonalnej.

Nasze zachodnie pragnienia różnych rzeczy czy osiągnięć, które chcemy mieć, albo dążenia do jakichś działań przedmiotowych, dotyczące przecież pożądań materialnych, są z tego punktu widzenia przejawem ciemnoty i prymitywizmu, gdyż celem powinno stać się wyzwolenie od pragnień, osiąganie „pustki umysłu”. Nową koncepcję wolności jednostki, która przyszła z Zachodu, pojmowano więc najczęściej nie jako „wolność od” (rozmaitych opresji), czy jako „wolność do” (czynienia czegoś), ale jako „wolność samodoskonalenia”, przy której kluczowe są nasze wewnętrzne ograniczenia, nie świat zewnętrzny. Prawa człowieka w tej wizji są jakąś koncepcją prymitywnych, ciemnych umysłów, odciągającą ich uwagę od rzeczy naprawdę ważnych i godnych. Dodam jednak, że prawa człowieka można uznać za jeden z kluczowych elementów wkładu Europy w cywilizację ogólnoludzką, zaś ich propagowanie odegrało ogromną pozytywną rolę, zwróciło uwagę różnych kultur i społeczeństw na problem i potrzeby jednostki. Jednak wystrzegać się należy misyjnego narzucania innym kulturom pod szyldem uniwersalnych praw człowieka naszych judeochrześcijańskich wizji człowieka i zachodnich koncepcji właściwego porządku politycznego. Kompromituje zaś koncepcję tych praw czysto manipulacyjne posługiwanie się nimi i oskarżanie o ich łamanie głównie aktualnych przeciwników politycznych, a zachowywanie milczenia o znacznie gorszych praktykach u sojuszników. Należy także pamiętać, że prawa człowieka nie tylko mają swe kolejne generacje, stopniowo dodawane przez ONZ pod wpływem państw nie-zachodnich (przez nas zazwyczaj ignorowane), ale w praktyce muszą być dostosowywane do konkretnych warunków kulturowo-społecznych i uwzględniać muszą rozmaite potrzeby ludzi! Dla Paryżanina czy Londyńczyka prawo głosowania na różne partie polityczne może być kluczowe, a dla członka plemienia z Nigru podstawową kwestią może być dostęp do wody, a żadnych partii ogólnonarodowych on nie chce, bo do żadnego narodu nie należy!

Żyjemy nie tylko w rozmaitych kulturach, ale i strukturach instytucjonalnych. Dla nas oczywistą sprawą jest posiadanie metryki, w której podaje się, że taki i taki urodził się dnia takiego to, w określonym miejscu. Podaje się w niej także imiona rodziców. Centralną postacią jest tu *jednostka*. Natomiast w wielu krajach Azji Wschodniej nie ma wciąż takich dokumentów. Można jedynie uzyskać urzędowy wypis stanu domostwa, w którym przeczytamy, jaki to dom, drewniany, czy murowany. Znajdziemy tam także listę członków tego domostwa, z podaniem ich imion i nazwisk (jeśli takie są używane w danym kraju), dat urodzenia i relacji pokrewieństwa, a na czele podaje się głowę rodziny jako pewną funkcję uznawaną oficjalnie. Z tego dokumentu dowiemy się zatem, że pan X podlega takiej to głowie domostwa, że jest trzecim bratem oraz ile ma rodzeństwa. Jest zatem podane precyzyjnie jego miejsce w hierarchii, a ma jeszcze kilkoro „bliskich”. I nie muszą oni wcale aktualnie razem za-

mieszkiwać, gdyż nawet przebywając czasowo, choćby przez wiele lat, gdzieś indziej, wciąż przynależą do tego domostwa rodzinnego. Były prezydent Chin Jiang Zemin przeniósł swoją rodzinę i domostwo z Szanghaju do Pekinu dopiero, kiedy został szefem partii rządzącej i prezydentem państwa, wcześniej nawet będąc ministrem dojeżdżał do rodziny w Szanghaju i nie podejmował przez wiele lat skomplikowanej, biurokratycznej procedury „przenoszenia domostwa” do stolicy.

Dodajmy, że w Chinach dotychczas nie funkcjonuje „obywatelstwo ogólnochińskie”, lecz tylko „gminne”. Tylko w swojej gminie ma się prawa obywatelskie: tylko tam można mieszkać zachowując wszystkie prawa, dzieci mogą uczyć się w subwencjonowanej szkole państwowej, można zarejestrować swój samochód, występować do władz, głosować itd. Obywatele jednej gminy gdzie indziej są traktowani prawie jak cudzoziemcy. Obecnie w ramach rynku kapitalistycznego obywatelstwo w innej gminie można oficjalnie kupić. W przypadku wielkich atrakcyjnych miast to kosztuje majątek (banki udzielają jednak na to wieloletnich pożyczek)! Dopiero w ostatnich latach ten system opierający się na specjalnych, lokalnych rejestrach ludności, mający ponad dwa tysiące lat, zaczął podlegać krytyce. W Europie nigdzie nie wpiśywaliśmy obywatelstwa państwowego do praw człowieka, w Chinach to natomiast bardzo ważna kwestia i bolesna potrzeba około 200 mln Chińczyków, pracujących i żyjących poza swoją gminą.

Ale nie należy zapominać o kwestiach mentalności i obyczajowości. Jeden z moich azjatyckich przyjaciół chciał się ożenić w Europie. Obserwować zatem mogłem, jak szukał kandydatki. On nie szukał dziewczyny, którą by pokochał. Nie szukał miłości, która ewentualnie zakończyłaby się małżeństwem, ale szukał przyszłej żony i matki swoich dzieci. I z tego punktu widzenia oceniał poznawane kandydatki. Starał się więc swoje gniazdo rodzinne z pełną determinacją. Kluczowa dlań była rola społeczna i oceniał spotykane dziewczyny, na ile się do niej nadają, jak dobrze będą ją wypełniały. Nie szukał zaś osoby o określonych walorach, którą by pokochał. Było wyraźnie widać, że dobór osoby do danej roli był dla niego najważniejszy, bo to rola miała określać wszystko. A było dlań oczywiste, że każdy powinien wypełniać swoją rolę. Dlatego wielu studentów azjatyckich w Europie tak łatwo akceptowało wyszukanie im żony w kraju przez rodzinę. Nawet jeśli poznawali ją dopiero po przyjeździe na zaplanowany już ślub. Jak zapewniał mnie taki młody żonkoś po powrocie ze ślubu dla dokończenia studiów: *Nasze dziewczyny są inne od waszych. Po prostu dostosowują się do męża i razem dbają oni o rodzinę.*

Wedle rozpowszechnionych na Zachodzie przekonań rozwój w historii polega m.in. na poszerzaniu autonomii jednostki. Niewątpliwie na Zachodzie obserwujemy takie procesy, chociaż autonomia taka była już znana ludom indoeuropejskim w czasach archaicznych: starożytnym Ariom z epoki *Rygwedy*, czy Grek z epoki *Iliady*, a starożytnym Izraelitom od czasów *Biblii*. W Azji Wschodniej współcześnie taka autonomizacja jednostki też postępuje, ale wcale nie jest przesądzone, że musi ona osiągnąć zachodni poziom. Supernowoczesna Japonia wciąż jest odległa od naszych wzorców

kulturowych. Rodzime kultury Azji Wschodniej wcale nie muszą obumrzeć w procesach modernizacji, a tamtejsze społeczeństwa przejmują jedynie elementy cywilizacji zachodniej, nie ją całą.

Budzi zawsze cichy bunt i wewnętrzny sprzeciw Azjatów traktowanie ich przez ludzi Zachodu jak dzieci, które trzeba dopiero czegoś uczyć, albo dzikusów, których trzeba cywilizować. Na ogół swoje instytucje, zwyczaje, wartości – często o starożytnym rodowodzie – uznają za lepsze, wygodniejsze, czy naturalne, jak my nasze. Takie są zwykłe przejawy etnocentryzmu pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. Różnica między Azjatami a Europejczykami/Amerykanami polega jednak na tym, że ci ostatni swoje normy chcą narzucać wszystkim innym kulturom, podczas gdy Azjaci nie uczą Europejczyków, jak mamy organizować nasze życie. Nasze złudzenia, iż normy europejskie są „uniwersalne” potwierdzają zokcydentalizowane elity azjatyckie, albo sfrustrowane jednostki, przejmujące choćby deklaracyjnie nasze wartości, a odrzucające swoje rodzime. Nie zawsze jest to szczere i rzadko znajduje szersze poparcie w swoim kraju. Jak błędne jest poleganie na opiniach Azjatów z Zachodu – emigrantów lub uciekinierów – boleśnie przekonali się Amerykanie w Iraku, choć ich przyjaciele zapewniali ich, że Irakijczycy będą ich witali z kwiatami. Przyjęta w 1998 r. przez ONZ, a później także przez Unię Europejską, zasada dialogu między cywilizacjami i kulturami, zakładająca wzajemny szacunek i partnerstwo, nie jest niestety dostatecznie propagowana na Zachodzie.

Warto zwrócić jeszcze uwagę na inny aspekt tej sprawy. W okresie zimnej wojny kwestia praw człowieka była skutecznie wykorzystywana przez Zachód do walki ideologicznej i politycznej z obozem sowieckim (dużą rolę w wysunięciu ich na czoło za prezydentury J. Cartera odegrał Zbigniew Brzeziński). Zamiast potępiać reżimy komunistyczne za brak demokracji, co wiązałoby się ze skomplikowanymi dyskusjami o różnych definicjach demokracji, tzw. demokracji ludowej itd., oskarżano je o łamanie praw człowieka, pojmowanych przede wszystkim jako prawa polityczne. W odniesieniu do europejskich krajów komunistycznych, jak Polska czy Czechosłowacja, takie podejście było zasadne i dość skuteczne. W okresie międzywojennym miały one systemy wielopartyjne, parlamenty, wolną prasę itd., chociaż można by wskazywać na pewne ułomności tej demokracji, czy wyraźne tendencje autorytarne. Niewątpliwie system komunistyczny bardzo ograniczył rozmaite swobody polityczne i łamał bardzo brutalnie wiele z praw politycznych, uznawanych tu za podstawowe. Oczywiście, krytyki takie musiały dotyczyć także dyktatury „czarnych pułkowników” w Grecji, czy półfaszystowskiego reżimu Salazara w Portugalii – sojuszników Stanów Zjednoczonych, co wymuszało na Białym Domu osłabienie poparcia dla dyktatur prawicowych. Reżimy komunistyczne w Europie znalazły się w trudnej sytuacji, gdyż trudno było im odrzucić wprost prawa polityczne, uznawane tu dość powszechnie. Ostatecznie kwestia praw człowieka odegrała bardzo ważną rolę w mobilizowaniu oporu przeciwko reżimom komunistycznym wewnątrz tych krajów i ostatecznie w ich obaleniu.



Zupełnie inna jest jednak sytuacja, gdy oskarżenia o łamanie praw człowieka kieruje się przeciwko reżimowi talibów w Afganistanie, rządowi KPCh w Chinach lat 90., czy Pakistanowi pod wodzą prezydenta-generała. Trudno mówić o ich łamaniu, gdy poprzednio tam ich nie znano i nigdy nie respektowano, gdy ludności są one obce i wykraczają daleko poza sferę jej aspiracji czy pragnień, albo nawet kiedy są sprzeczne z przyjmowanymi tam powszechnie ideami oraz normami i kłócą się z miejscowymi realiami społeczno-politycznymi. Trudno walczyć o prawa obywatelskie, gdy nie znana jest koncepcja obywatela, a wspólnota narodowa dopiero się formuje, dominują zaś tożsamości i więzi rodowo-plemienne. W kręgu tradycji konfucjańskich brakło wyraźnego zainteresowania sprawami politycznymi kraju i chęci uczestnictwa w nich. Brak zainteresowań politycznych jest zresztą dość powszechnym fenomenem. To Europa z jej szczególną fascynacją polityką jest wyjątkiem. W tych warunkach możemy mówić o łamaniu praw politycznych i obywatelskich tylko w aspekcie czysto teoretycznym, z naszej zachodniej perspektywy „praw naturalnych istoty ludzkiej”, definiowanej według tradycji judeochrześcijańskich.

Natomiast perspektywa społeczeństw azjatyckich czy afrykańskich będzie zupełnie inna. Będą one oceniać swoje rządy, stawiając podstawowe pytania: czy dana ekipa poprawiła znacząco warunki życiowe, czy zapewnia niezbędny zakres bezpieczeństwa i ewentualnie, czy zakres swobód społecznych, a może nawet i indywidualnych, poszerza się czy zawęża. Jeśli kraj osiąga bezprecedensowy rozwój i dobrobyt, a minimalny poziom bezpieczeństwa jest zagwarantowany; gdy buduje się dość sprawnie system państwa prawa, zupełnie tutaj nowy, po raz pierwszy od 2000 lat; gdy zakres wolności i praw jednostki nigdy przedtem nie był tak szeroki, co występuje w przypadku Chin – trudno miejscowych przekonywać, że ich prawa człowieka są drastycznie łamane. Nic więc dziwnego, że poparcie dla polityki rządu sięga tam poziomu 70%. Natomiast jeśli swobód jest wprawdzie więcej, ale drastycznie obniża się poziom bezpieczeństwa, jak w Afganistanie, a obiecwanego dobrobytu i rozwoju nie widać nawet na horyzoncie – trudno się dziwić, że narastają tęsknoty do rodzimych i zrozumiałych rządów talibów, którzy zapewniali porządek w kraju wedle miejscowych, islamskich ideałów. I najbardziej elokwentne opowieści o łamaniu przez nich praw politycznych, czy braku swobody wyboru religii oraz stroju, nie przekonują miejscowych wieśniaków. Oczywiście każdy z powyższych przypadków jest w istocie bardziej skomplikowany.

Spółeczeństwa porównują zwykle swoje życie do czasów dawniejszych w swoim kraju i do standardów normalności, czy wzorców idealnych tam przyjmowanych, nie zaś do nieznanych, albo wręcz obcych koncepcji formułowanych w Paryżu czy Nowym Jorku. Dopiero także w społeczeństwach do pewnego stopnia przeobrażonych przez procesy modernizacji, dość otwartych i zintegrowanych w skali ponadpaństwowej, jak w Europie, zaczynają odgrywać pewną rolę porównania z innymi krajami. Jeśli tego brak, nawet oglądanie cudzoziemskich filmów w telewizorze nie zmienia zasadniczo lokalnych kryteriów ocen i przyjmowanych norm. Rzeczywistość na

szklanym ekranie jest tak odległa od miejscowych realiów, że wydaje się opowieścią z bajecznej krainy zza siedmiu gór i zza siedmiu rzek. Efektem ich oglądania częściej są marzenia, czy nawet próby nielegalnych wyjazdów na bajeczny Zachód, niż choćby najskromniejsze próby zmieniania swoich realiów.

A musimy się liczyć jeszcze z wnioskami negatywnymi. Po zapoznaniu się z Zachodem wcale nierzadko Azjaci dochodzą do wniosku, że ich rodzime wzory życia i ideały są o wiele lepsze. Niejeden Malezyjczyk czy Chińczyk po dłuższym pobycie w Stanach Zjednoczonych wraca z mocnym postanowieniem: za nic nie pozwolę na wprowadzanie u nas amerykańskich porządków. Niektórzy Azjaci podejmowali wręcz ostatnio próby niszczenia, czy zastraszenia Zachodu akcjami terrorystycznymi, składając nawet swe życie w ofierze. Terrorysty pilotujący samoloty, które uderzyły w 2001 r. w World Trade Center w Nowym Jorku, nie byli ciemnymi wieśniakami z gór Afganistanu, lecz absolwentami zachodnich uczelni, żyjącymi w Europie przez wiele lat. Poznanie Zachodu wcale zatem nie pociąga za sobą masowo i u wszystkich Azjatów chęci przejmowania jego norm, wartości, stylu życia czy instytucji. Zderzenie kultur prowadzić może do bardzo rozmaitych konsekwencji. I wcale nie wszyscy Azjaci chcą stać się takimi, jak ludzie Zachodu, ani żyć jak oni, chociaż na ogół chętnie zapożyczają rozmaite zachodnie (a ostatnio coraz częściej azjatyckie) gadzety i urządzenia techniczne. Poglądy i postawy Polaków, mieszkających w Stanach Zjednoczonych, bywają zaskakujące nie tylko dla Amerykanów, ale i dla rodaków w kraju. Nawet w Warszawie w dość szerokich kręgach normy przyjmowane w Berlinie, czy Nowym Jorku traktuje się jako absurdalne, czy złe moralnie. Podobnie traktują nasze normy Berlińczycy. Te same konflikty kulturowe występują w kontaktach z naszymi wschodnimi sąsiadami. Zderzenie kultur nie dotyczy tylko kontaktu Azjatów z Zachodem, ale jest zjawiskiem dużo bardziej powszechnym.





Portret Krzysztofa Gawlikowskiego jako uczonego chińskiego pędzla Huang Yongyu

**Inskrypcja:****Jeśli kraj nie trzyma się Drogi (*dao*), choćby na tratwie odpływa się za morze**

W roku Yichou (1985), na początku lata, zwiedzając okolice Neapolu, spotkałem Shi Shidao (K.Gawlikowskiego), jak krewniaka. Doświadczyłem radości, jaka rzadko w życiu się zdarza. Przegadaliśmy całą noc o tym, co jest dziś i co może zdarzyć się jutro, więc teraz ku pamięci przelewam swe odczucia na papier. Niechaj tak rozśpiewana i roztańczona Polska wnosi jeszcze większy wkład do kultury świata! Życzę narodowi polskiemu, by jak najszybciej mógł w spokoju i radości pracować i by wszystkie jego rodziny mogły się znowu połączyć – o co się modłę.

Huang Yongyu, z zachodniego Hunanu, w Rzymie.

Przekł. Bogusław Zakrzewski

**Objaśnienia:**

Tytuł to powiedzenie pochodzące z *Analektów konfucjańskich* (*Lunyu*, V.7) i nawiązuje do emigracji Krzysztofa Gawlikowskiego do Europy zachodniej w okresie stanu wojennego w Polsce. Wielkie wrażenie na Huang Yongyu wywarła chińska biblioteka polskiego badacza, z którą peregrynował (Łódź uczonego jest więc na obrazie wypełniona książkami). Malarz zapewne oglądał dawniej występy Śląska czy Mazowsza, które musiały zapaść mu głęboko w pamięć (niektóre z ich piosenek nawet zdobyły w Chinach popularność na lata). Polska „walcząca pod wodzą Lecha Wałęsy z reżimem komunistycznym narzuconym przez Moskwę” budziła wtedy ogromne zainteresowanie i sympatię w Chinach wychodzących właśnie z koszarowego komunizmu Mao.

Bogusław Zakrzewski i Krzysztof Gawlikowski

**Huang Yongyu**

Jeden z najwybitniejszych malarzy chińskich XX w. Urodzony w 1924 r. w powiecie Fenghuang w prowincji Hunan. Był profesorem Centralnej Akademii Sztuk Pięknych w Pekinie. Początkowo uprawiał technikę drzeworytu, a od lat 60. tradycyjne malarstwo chińskie (choćby incydentalnie uprawiał też malarstwo farbami olejnymi typu zachodniego). Najślawniejsze są zwłaszcza jego kompozycje kwiatowe, ale malował także w charakterystyczny sposób postacie ludzkie. Sławę w kraju i zagranicą zyskał w latach 80. XX w., w okresie otwarcia Chin na świat, jako wielki nowator wprowadzający w mistrzowski sposób tradycyjne techniki chińskie do nowoczesnego malarstwa. Ceniony jest także jako eseista (w 2000 r. ukazał się jego tom esejów *Zapiski o sztuce - Yishu suibi*).

Krzysztof Gawlikowski